Rok II. Katowice, 25 grudnia 1929. Nr. 10-12.

Adres Redakcji i Administracji:
Katowice, ul. Szafranka
„Domek Harcerski“

NA TROPIE

Konto w P. K. O. Katowice Nr. 305.330.
Cena numeru 50 gr, z dodatkiem 2 zł.

WRAZ Z DODATKIEM „JAMBOREE“

BÓG SIĘ RODZI...

Potęga państwa rzymskiego dosięga krańców znanego świata. Nieprzeliczone legje, żelazna, mądra organizacja, bogactwo, świątynie pełne cudnych, uśpionych bogów . . .

Czemu więc przez świat płynie ogromna fala tęsknoty za czemś innem jeszcze . . .

Czemu oczy wpatrują się w przestrzeń, pełne czekania . . .

Czemu uszy z wytężeniem nasłuchują, skąd odezwie się Słowo . . .

Czemu serca, snując dymy kadzielne tęsknot, gotują się na przyjęcie nowego kochania . . .

*

Ulicami miasta, wśród tłumu ludzi głośnych, rozbawionych i zajętych niezliczonemi sprawami i interesami wędruje starzec, o mądrych oczach dobrego opiekuna. Za uzdę parcianą prowadzi osła, na którym siedzi dziewczyna-niewiasta; z pod zasłony patrzą ufne, kochania pełne, jeszcze prawie dziecięce oczy. Z daleka widać idą; szaty mają grubą warstwą pyłu okryte, postacie mówią o znużeniu. Starzec puka do drzwi znanych i obcych, prosi o nocleg i znaleść go nie może. Kiedy więc zapada wieczór wychodzą z bram niegościnnego miasta i dalej idą, szukając.

I oto w polu, kiedy już sił brakło na dalszą wędrówkę, znajdują chatę opuszczoną. Nic to, że poprzez dziury w powale gwiazdy patrzą do środka, nic, że jedynymi towarzyszami są woły i owce, jedynym sprzętem żłoby. Starzec wprowadza pod dach niewiastę, posłanie jej gotuje, by spocząć mogła.

Noc jest... ta noc najdłuższa w roku, w której słońce mrok zwycięża i która od wieków była świętem radosnem misterjum odrodzenia . . . W tę noc, po drodze utkanej z tęsknoty serc ludzkich i promieni gwiazdy nieznanej, rozbłysłej nad stajenką w Betlejem — schodzi na ziemię Dzieciątko — Odkupiciel.

Dziecię, które w sercu Swojem przynosi światu miłość najwyższą, wszechobejmującą, dla której nic nie jest nieważnem i zbyt małem, by wolno je było w przejściu minąć.

Dziecię to posiądzie Tajemnicę Bytu: Miłość i Mądrość Boga, które nauczą je kłosy złamane prostować, kamienie w chleb zamieniać i sercom zamarłym na nowo ciała ożywiać nakażą.

Dziecię Boże — Bóg-Syn...

„W nędznej chatce urodzony,
Żłób mu za kolebkę dano . . .“

*

Cicho na świecie; śnieg głuszy hałas ulicy.

Powoli zapada wczesny mrok zimowy i gwiazdy zapalają się na niebie.

Ostatnich, spóźnionych przechodniów pochłaniają otwarte bramy. Ustała praca; codzienne troski i wysiłki uciekły na chwilę z jasno oświetlonych wnętrz domów.

Radosny nastrój czekania: święto, najmilsze ze wszystkich, Święto Przyjścia...

Na codzień — jest podobno ciężko; mamusia biedzi się nieraz, jak zrobić, by chleba starczyło dla wiecznie głodnych piskląt; ojciec wraca do domu znużony śmiertelnie i głowę wysila, w jaki sposób dorobićby jeszcze centów trochę, by dzieciom stworzyć możliwość lepszej od własnej przyszłości.

Dziś jednak wszystko poszło w zapomnienie, jest Wilja Bożego Narodzenia i aktualnem pozostało tylko pytanie, jak stworzyć największą, prawdziwą radość naszym kochanym.

Tradycja, najstarsza może z istniejących na świecie tradycja tego dnia, wyrażająca się w potrzebie stwarzania, mnożenia radości — corocznie zwycięża szarą codzienność.

Jak bardzo biedni są ludzie, którzy w dniu tym nie mają komu przesłać uśmiechu serdecznej pamięci, których serca bijąc, żyć przestały . . .

W pokoju dzieci wielka narada. Słusznie uważają, że starszym przeszkadzać nie trzeba (jest w tem duża doza podświadomego egoizmu, gdyż dobrze wiedzą, co się tam święci za zamkniętemi drzwiami); a jednak — trzeba zdecydować wreszcie, jak rozwiązać kwestję stroju do wieczerzy wigilijnej. Mundur szkolny? — nudny, sukienka jasna? — pożal się Boże: ostatnie przedstawienie „Za siedmioma górami . . .“ pozostawiło niezatarte ślady, w postaci rozgniecionej czekolady . . .

Stach z Anulą stoją przed otwartą szafą zadumani srodze; korzysta z tego „krasnolud bardzo dziki“ — Marychna i z wielką powagą wydobywa swój mikroskopijny mundurek harcerski mrucząc: „przecież dzisiaj święto, jak na 3 Maja“. Stach i Anula patrzą na siebie: że im też to do głowy nie przyszło, mimo, iż przed chwilą w chustki harcerskie chowali z trudem przygotowane w wielkiej tajemnicy przed sobą i starszymi, — podarki „na gwiazdkę“.

Mundur harcerski? — jaki może być strój odpowiedniejszy na to święto radości?

Mundur harcerski . . . to szare, niepozorne, najmilsze ubranie, czy pamiętacie dobrze, czy wiecie, c z e g o jest symbolem?

*

Czy nie dobrze będzie, w tę Wigilję przypomnieć sobie o tem?

Kim jest harcerz? Czem jest Harcerstwo?

„Harcerz służy Bogu i Ojczyźnie; harcerz się uśmiecha; harcerz jest przyjacielem całego świata; harcerz spełnia dobre uczynki; harcerz kocha przyrodę i stara się ją poznać, harcerz jest uczciwy . . .“

Toć przecie w tej jeszcze niepełnej litanji praw harcerskich zawiera się całokształt życia, pięknego, bogatego i twórczego!

Toć są to przecie podwaliny pod dobrą, jasną przyszłość Polski i świata!

HELENA ZAKRZEWSKA.

WIGILJA BRONKI.

Z szumem i świstem leci na miasto śnieżna zawieja. W niespokojnem świetle migocących latarń wirują płatki śniegu, jak małe duszki, oszalałe z zimna. Wiatr postękuje głucho, z wyciem wśliźguje się w opustoszałe ulice, przylega cicho na chwilę, i znowu leci, wyje, łka... Latarnie mrugają oczami, jak ktoś, co gwałtem powstrzymuje się od płaczu. Ciemna noc roi się od szalejących, białych duszków, które z suchym szelestem obijają się o ściany kamienic. W mieście jest cicho i pusto, gdzieniegdzie tylko biegnie jeszcze spóźniony jakiś przechodzień. Niesie w obu rękach mnóstwo paczek i śpieszy się bardzo... spieszy do ciepłego domu, do wigilijnego stołu, do barwnej, błyszczącej choinki. Byłoby właściwie bardzo smutno dziś w mieście przy tej ponurej zawieji, gdyby nie okna domów jarzące się wesołym blaskiem. Płynie z nich fala świątecznej uroczystej radości. To przecież wieczór wigilijny.

Ogromna, szara kamienica na przedmieściu, wypełniona po brzegi mrowiem ludzkiem, patrzy w burzliwą noc setką błyszczących oczu. Tylko jedno okienko jest ciemne, okienko nędznej suteryny przy bramie. W sąsiednich okienkach świeci się wesoło, na tle firanek migają cienie, słychać tu i ówdzie śpiew kolęd, albo harmonijkę. W zasnute pajęczyną szybki przy bramie tylko latarnia rzuca niespokojne, migocące blaski.

Izba jest prawie pusta. Pod ścianą łóżko, z odrobiną słomy zamiast siennika. Kulawy stolik i parę wyszczerbionych garnków na półce. Zimno, ach, jak zimno!

Bronka zgrabiałemi palcami zapala zapałkę i usiłuje rozniecić w żelaznym piecyku nędzny ogienek... Raczej dla odrobiny blasku, niż dla ciepła, bo jakież ciepło dać może w tej lodowni połupana na drzazgi noga stołka, z odrobiną słomy z łóżka?

Do Bronki tulą się dwaj mali chłopcy, popłakując.

— Cicho, Józek, nie wstydzisz się tak mazać? — mówi Bronka. — Dajesz tylko zły przykład Staszkowi. Zjadłeś już chleb?

— Zjadłem... mruczy Józek i zaczyna płakać jeszcze mocniej. Zimno, niema wilji, ani choinki, niema mamy, bo niedawno umarła — tato poszedł — jak zwykle od śmierci mamy — szukać pocieszenia, a kawałeczek chleba był taki malutki...

Staszek czepia się obu sinemi z zimna piąstkami bronczynej spódniczki i ryczy coraz głośniej. Usta Bronki drgają boleśnie, jeszcze chwilka, a i ona także wybuchnie płaczem. Jej dzielna, dwunastoletnia duszyczka przetrwała wiele od kilku miesięcy. Ale dziś... nie, dziś, to nad siły...

Słoma zajęła się żywym płomieniem, Bronka bohatersko stłumiła szloch, który czaił się jej w gardle i energicznie porwała się z klęczek.

— Cicho, beksy, mam dla was niespodziankę! — oznajmiła, siląc się na ton swobodny i beztroski.

Chłopcy ucichli się, jak na komendę.

— Jaką niespodziankę? — pytają, drżąc z zimna i z ciekawości.

— Zrobimy sobie choinkę, patrzcie, co tu mam dla was! — mówi Bronka, wydobywając z za pieca malutką, cherlawą drzewinę, którą wyprosiła wieczorem na placu od zwijającego swój handel przekupnia.

— Ubierzemy ją zaraz, zapalimy świeczki i będziemy mieli wigilję!.. — mówi Bronka.

Chłopcy klaszczą w ręce, oczy im błyszczą radośnie. Ach, żeby choć złudzenie wigilji! Rzeczywistość jest nazbyt okropna. Bronka wydobywa z jakiegoś kącika kilka strzępków kolorowego papieru, garstkę splątanych, złotych nici i parę niedopałków zeszłorocznych świeczek. Dostała te drobiazgi od grzecznej dziewczynki z pierwszego piętra. Nie będzie to drzewko najwspanialsze, ale zawsze będzie. Byle tylko chłopcy nie płakali!

Małe, zsiniałe ręce szeleszczą papierkami. Praca idzie żywo. Wyobraźnia dodaje blasku biedniutkiej choince. Nagle na schodach daje się słyszeć głośny łomot. Do izby wchodzi groźny i zaperzony dozorca. Potrząsa groźnie miotłą i krzyczy:

— A, bachory obrzydłe! Znowu zanieśliście mi śniegiem całe schody! Cóż to, myślicie, że ciągiem ino zamiatać po was będę?

Zaśnieżona czapa, zaśnieżone wąsy, zaśnieżona groźna miotła. Jakby sam mróz bezlitosny wtaszczył się do izby całą grozą swej potęgi! Bronka bez tchu podnosi ręce do góry. Taka już jest niemądra, że serce jej się tłucze byle czego, aż do utraty tchu.

— Wycieraliśmy dobrze nogi, proszę pana! — mówi rezolutnie Józek, stając przed siostrą, jakby chciał jej bronić.

— Ja ci dam, smyku zatracony! — huczy dozorca. Rozgląda się po ciemnej, zimnej izbie. Oczy jego zdają się szpiegować wzrastającą nędzę lokatorów. Z każdym dniem mniej jest sprzętów i przyodziewku, poprostu żebraki, tfu!

— Ojca niema? — pyta szorstko.

— Niema jeszcze... ale wróci. niedługo wróci... szepce Bronka, wiedząc dobrze, co znaczą te oględziny mieszkania.

— Acha, wróci! — mruczy basem stróż i zabiera się do odwrotu. Przez chwilę słychać ciężkie jego kroki na schodach. Potem nastaje cisza, tylko drewienka trzaskają w piecyku, a gdzieś zdala przez ścianę płynie melodja kolędy. Dzieci, wracają do przerwanej roboty. Chłopcy zaczynają przypominać sobie zeszłoroczną wigilję i z zachwytem wyliczają wszystkie te cudowności, które znaleźli pod drzewkiem. Tylko Bronka milczy, milczy i myśli, podczas gdy drobne jej palce przytwierdzają zręcznie ogarki świeczek do gałązek choinki.

— Zaraz zapalimy — mówi do chłopców — a wtedy zaśpiewamy kolędę i opowiem wam o małym Jezusku.

Chłopcy skaczą w radosnem podnieceniu nakoło drzewka. Nagle znowu słychać kroki na schodach.

— Może to tato? — pyta Józek, niepewny, czy ma się smucić, czy lękać.

Nie, to nie tato. To pan sklepikarz z narożnego sklepiku. Staje w progu i potrząsa kartką, na której widnieje długa litanja cyfr...

Toć przecie — jakgdyby nowi rycerze z pod znaku Chrystusowej Dobrej Woli!

Niech tylko słowo nie będzie słowem, lecz czynem, choćby drobnym, codziennym, lecz czynem spełnionym świadomie i z tem naoścież dla wszystkiego, co piękne, otwartem sercem, niechaj mundur harcerski nie będzie przywilejem, pozwalającym korzystać z praw brania udziału w uroczystościach, lecz mundurem rycerzy wojujących o podniesienie wewnętrznego poziomu życia — dziewcząt i chłopców żywych, zdrowych, o jasnych, pogodnych oczach i prawych sercach, a wówczas — spełniając symbolizujący miłość bliźniego obrzęd dzielenia się opłatkiem śpiewać będziemy:

„Harcerze Was to spotkało, witać Go przed bogaczami,
by Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami . . ."

W. M.

— Przyszedłem po moje pieniądze — krzyczy od progu, ruszając ryżą bródką. Gdzie moje pieniądze? Cały miesiąc wam borgowałem, dziady przeklęte. Cóż to, myślicie, że was zadarmo będę żywił? Zapłacicie mi mój rachunek, albo...

Nie kończy groźby. Wodzi wokoło złemi oczami.

— Gdzie ojciec? — wybucha z pasją.

— Ojca niema w domu — mówi omdlałym głosem Bronka, której serce tłucze się znowu, jak dzwonek w klasztornej kaplicy!

— Cóż to? taką wam ojciec sprawił wilję? — szydzi pan sklepikarz. — Czuły tatulek, niema co mówić! Do djabła z taką hołotą!

Bronka chciałaby mu powiedzieć, że tato nie jest żadną „hołotą", że tato jest bardzo biedny, bo umarła mamusia — a mamusia była taka kochana i słodka! Tato nie może jej zapomnieć i chodzi zalewać robaka... Bronka nie wie, gdzie ten robak siedzi, pewnie w sercu, musiał głęboko wleźć, bo to zalewanie nie pomaga. Tato nie może pracować, tylko pije i płacze, płacze i pije na przemiany. Ale dla dzieci jest zawsze dobry i to nie jego wina...

Ze ściśniętem gardłem patrzy Bronka na pana sklepikarza. Usta jej milczą, ale oczy mówią tak wyraźnie, że kupiec cofa się w pomieszaniu. Jeszcze jednem spojrzeniem ogarnia izbę, choinkę, troje sinych z zimna dzieciaków i wychodzi, mnąc kurczowo w garści niezapłacony rachunek.

— Zapal świeczki! — proszą chłopcy, niewiele sobie robiąc z wizyty intruza.

Bronka drżącą ręką pociera zapałkę. Jedna, dwie, trzy... cztery świeczki zamigotały na gałązkach. Strzępy złotych nitek chwieją się w lodowym podmuchu od okna. Ale oczy chłopców lśnią z uciechy. Tańczą po izbie, oczarowani swoją cudną, maleńką choinką. Przecież i oni mają wigilję! A już zdawało się, że nic z tego nie będzie. Klękają na ziemi koło choinki i zaczynają śpiewać kolędy tak, jak ich pani w ochronce uczyła. Bronka nie śpiewa. Przykucnęła koło piecyka, schowała głowę w obie dłonie i z całych sił opiera się straszliwej rozpaczy, która szarpie jej duszę.

— Byle tylko nie płakać — szepce przez zaciśnięte zęby, byle tylko nie płakać!

Chłopcy wyśpiewali wszystko, co umieli, przybiegli do siostry i przytulili się do jej kolan.

— Opowiadaj o małym Jezusku! — prosi Józek.

— O Jezusku! — powtarza za nim Staszek.

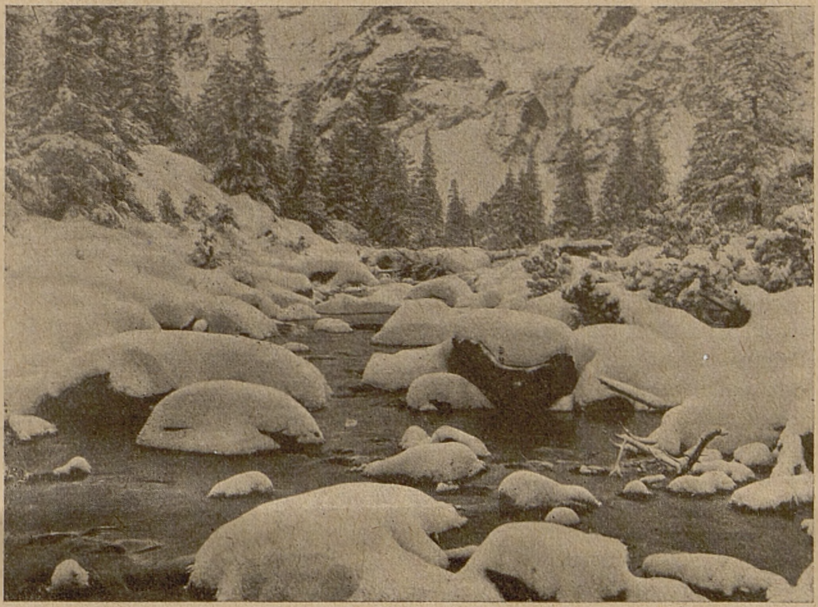
Bronka wzdycha głęboko, — nabiera tchu. Wpatrzona w płomyki świeczek, kołysane prądem zimnego powietrza, zaczyna mówić. O tem, jak się urodził w ubogiej stajence, jak leżał nagusieńki i zziębnięty, a wół i osiołek ogrzewali go ciepłym oddechem. Jak przyszło dużo, dużo pastuszków z darami, a potem trzej królowie, wspaniali, w płaszczach z purpury... a potem wszyscy biedni ludzie, wszyscy opuszczeni, smutni, wszystkie małe sierotki... A Jezusek maleńki wyciągał do nich rączki i głaskał i pieścił tych, co najbiedniejsi — i naraz wszystko się zmieniło. Ci, co płakali, musieli się śmiać z radości, ci, co byli nieszczęśliwi — znaleźli nagle wielkie, niespodziewane szczęście..

— To Jezusek wszystko może? — pyta Józek.

— Tak, Jezusek wszystko może, wszyściuteńko, co tylko zechce! — zapewnia gorąco Bronka.

Józek otwiera usta, chce o coś zapytać, ale naraz zamyka je z bolesnem skrzywieniem. Wbrew swemu zwyczajowi milczy, patrząc w płomyki świec, tylko na czole zarysowuje mu się głęboka zmarszczka. Bronka wie, co pomyślał. Chciał się zapytać, czy Jezusek mógłby im oddać mamusię. Nie, takie cuda nie zdarzają się teraz na świecie. Może... może... — gdyby był tu żywem ciałem, gdyby z płaczem objęli jego święte nóżki..

— Ale wigilję mógłby nam zrobić, gdyby chciał! — pociesza braciszka Bronka.



Baśń zimowa. Fot. Wł. Miednia...

W milczeniu, przerywanem cichym trzaskiem dopalających się świeczek — jak grom odzywa się nagle tupot nóg na schodach. Znowu ktoś idzie! Dzieci zalęknione przytulają się do siebie. Ten krok chwiejny, potykający się, to krok ojca. Jakże go robak dzisiaj musiał udręczyć! A ten mocny, grzmiący, nieubłagany, to... to... dzieci nie śmią oddychać!... to pewno znowu pan policjant z rogu, który nie raz już pomógł tacie dostać się do domu.

Tak, to on! Ogromny i straszliwy, jak siepacze króla Heroda, wtacza się do izby, prowadząc pod pachy mizernego człeczynę. Wlecze go przez izbę i rzuca prawie na łóżko. Potem rozgląda się po izbie. I ten także! Patrzy napastliwie, zachłannie, jakby się na pamięć chciał nauczyć tej nędzy. Zakłada ręce na piersiach i stoi tak przez chwilę potężny, jak niezdobyta twierdza, medytując nad czemś głęboko. Potem mówi krótko:

— Pilnuj ojca mała, żeby mi się dzisiaj po ulicy nie wałęsał w tym stanie. Przecież to noc wigilijna!

Jeszcze jedno spojrzenie, dokoła. Trzask drzwi, zamykanych silną, męską ręką. Na łóżku wije się i bełkoce jakieś niezrozumiałe słowa, nędzna postać ludzka. Słychać przez chwilę przeciągłe chlipanie... Świeczki dopalają się i gasną, jedna po drugiej. W piecyku także już czarno. Tato zasnął i chrapie. Chłopcy, przytuleni do Bronki, także zaczęli już drzemać. Bronka otula ich strzępami wełnianej chustki i siedzi, zapatrzona w ciemność.. Zdaleka płynie radosny śpiew... kolędy... kolędy... I teraz dopiero łzy, wyzwolone z głębin umęczonego serca, zaczynają lać się po twarzy Bronki...

Wicher ze śniegiem uderza o małe szybki. Noc, wigilijna noc.. Gdyby Jezusek zechciał! Oczy Bronki przymykają się zwolna.. I nagle coś się zaczyna dziać w zimnej, ciemnej izbie. Z kątów, pełnych śmieci i pajęczyn, zaczyna sączyć się błękitno-różowe światło. Coś zaszumiało, zaszurgało piórkami... To aniołek, jeden — i drugi — i trzeci... Poszeptały z sobą na środku izby i nagle rozdarły rączkami ciemność, jak czarną płachtę. Ogromny blask uderza oczy Bronki.

Szopka! Ale jaka cudowna! Tak pięknej niema na świecie, to chyba niebo zeszło nagle do biednej suteryny. W małym żłóbku, na miękkiem sianku leży cudne Dzieciątko. Blask otacza jego złotą główinę, blask bije mu z rączek i z nóżek. Jest wszystko! I wół — i osioł... i Święty Józef, uśmiechnięty dobrodusznie, z białą lilją w dłoni — i Matka Boska, zapatrzona miłośnie w cudne Dzieciątko. Nad szopką ciągły ruch. Anioły fruwają, migają białemi skrzydłami, srebrzą się w powietrzu, jak stado gołębi w słońcu. Teraz, teraz trzeba dzieciątku paść do nóg i prosić o zmiłowanie... Nagle Święty Józef podnosi głowę i nadsłuchuje. Matka Boska bierze promienne Dzieciątko na kolana. Dzieciątko uśmiecha się do Bronki. Anioły ustawiają się długim szeregiem... Słychać pieśń, pieśń anielską, która dzwoni w uszach, jak żywa.

To trzej królowie! Trzej królowie idą! Bronka chciałaby zerwać się i podbiec do szopki, zanim przyjdą, ale jest jak sparaliżowana. Nie może otworzyć oczu, ani ruszyć się z miejsca.

Już są, już przyszli! Ubrani w purpurę, z mirrą, kadzidłem i złotem... Jeden ma sumiaste wąsy, sumiaste brwi i siwe, gniewne oczy. Drugi ma rudawą bródkę i okulary w rogowej oprawie. A trzeci, trzeci — majestatyczny i wspaniały, ma na głowie czarny, błyszczący kask.. Tak się coś Bronce plącze po głowie... Kto to jest? Skąd ona zna te twarze, gdzież mogła spotkać się z królami, ona, która nie wyszła nigdy poza granice biednego przedmieścia?

Trzej królowie złożyli Jezuskowi dary, padli przed nim na kolana, a potem wstają obracają się i patrzą... Patrzą dokoła dziwnem, długiem spojrzeniem... Ach, teraz Bronka wie już, zna te twarze, zna te zimne, bezlitosne oczy... To pan dozorca. pan sklepikarz i pan policjant z rogu! Jakżeż to może być? W głowie jej się miesza... światła przed oczami skaczą i zacierają, szopka gaśnie i gruba płachta ciemności zwala się na głowę, na piersi Bronki...

Dziewczynka szamoce się, chciałaby krzyczeć, ale nie może dobyć z siebie głosu. Ciemność znowu rozprasza się zwolna. W izbie słychać stąpania i półgłośne szepty. Bronka otwiera oczy — i serce zaczyna trzepotać się w niej ze zdumienia... Co to jest? Mój Boże! Co to jest? Czy to sen jeszcze? Więc naprzód: ojciec siedzi na łóżku, umyty, uczesany i w czystej koszuli. Oczy ma jeszcze mętne, ale pełne rzewności i ciepła. Po izbie krząta się pani dozorcowa w białym fartuchu i białej chustce na głowie. Włosy jej są równie białe, ale twarz okrągła i rumiana, jak zimowe jabłko. Stół, bielutko nakryty obrusem, zastawiony jest talerzami. Z koszyczka wyziera podłużny bochen pachnącego chleba. W piecyku wesoło płonie ogień, prawdziwy ogień. A przy stole — nie! to nie do wiary! Bronka trze oczy, ale dziwny obraz nie ustępuje z pod powiek... Przy stole siedzą zgodnie: pan dozorca, pan sklepikarz i pan policjant, siedzą swobodnie, bez czapek, jak w gościnie, gwarzą wesoło i uśmiechają się zachęcająco do człeczyny na łóżku.

— No, panie majster! — szepce dobrodusznie pan dozorca — trza się wziąć w garść; tak dalej być nie może!

— Ja panu pożyczę pieniędzy na wykupienie narzędzi z zastawu, musi pan się do roboty brać, panie szewiec. Nie ma co! — mówi pan sklepikarz z ryżą bródką i szczerzy zęby w uśmiechu.

— Nastręczę panu z posterunku robotę. Koledzy moi drą butów, co niemiara. Będziesz pan miał co robić dzień i noc! — huczy stłumionym basem ogromny pan policjant.

Ojciec wstaje, ściska im ręce, trze załzawione oczy.

— Panowie! dobrodzieje moi! — zaczyna.

Ale pan policjant podnosi do góry olbrzymią swą łapę, przywykłą do rozkazywania.

— Tylko bez rozczulań! Mazgajstwa nie znoszę! Przecież człowiek człowiekowi brat... Wiadomo, nieszczęście każdego spotkać może...

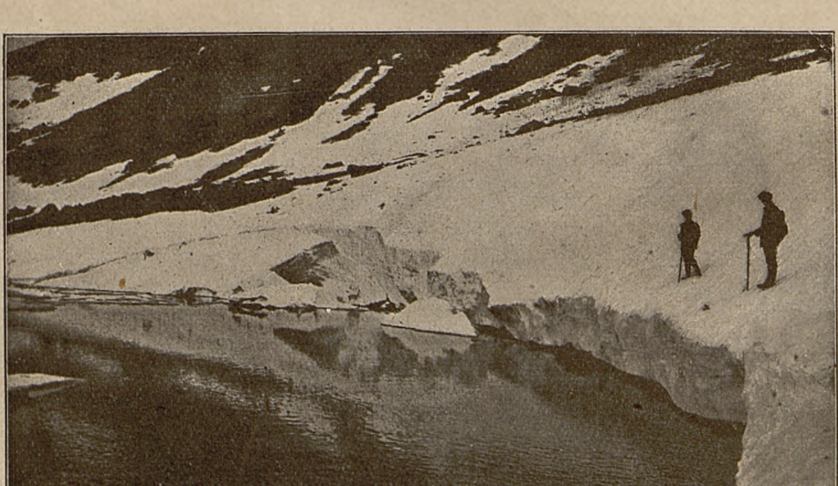
— A toć człowiek byłby chyba zwierzęciem, żeby sąsiadowi w niedoli ręki nie podał! — wybucha zapalczywie pan dozorca.

— Ot, obudziły się dziecięta, czas nam zasiąść do wieczerzy! — mówi flegmatycznie pan sklepikarz, układając na stole resztę wiktuałów, dobytych z koszyka.

Dzwonek w sercu Bronki dzwoni, dzwoni — jak w kościele przy podniesieniu. Więc Jezusek zlitował się nad dziećmi i zesłał im niespodziewane szczęście. Prędko, prędko!.. Bronka budzi braciszków, poprawia na nich biedne, wymięte sukienczyny i z błyszczącemi jak gwiazdy oczami prowadzi ich do ojca, który szeroko otwiera ramiona..

— Tylko bez rozczulań! bez mazgajstwa! — upomina groźnym basem pan policjant. Pan sklepikarz dziwnie długo wyciera sobie nos kraciastą chustką, zaś pan dozorca daje folgę burzliwemu swemu usposobieniu i wielkim głosem wybucha na całe gardło:

— Ej, funda, funda, funda, tota risibunda!! Hej. kolęda, kolęda!



Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym.

OSKAR ŻAWROCKI.

NA NOWEJ DRODZE.

— Baczność! Na prawo — patrz! — rozlega się głos komendy i drużyna przeprowadza wzrokiem wnoszony sztandar.

Wszystko jest takie same, a jednak inne: obrazki na ścianach tak samo wiszą, ten sam stoi w kącie świetlicy stół, barwne szkice Wicka Olbromskiego po dawnemu intrygują Mietka, a jednak coś jest zupełnie odmiennego w dzisiejszej zbiórce drużyny, co nadaje jej uroczysty ton, pomimo, że wszyscy są tacy sami, jak dawniej. Mietek doskonale rozumie, że chwila przyrzeczenia jest nader ważna; już dwukrotnie podczas jego służby odbywała się taka sama uroczystość; starał się nawet podczas tych chwil być poważnym, zawsze jednak raziła go pewna teatralność tego obrzędu — dziś jest zupełnie inaczej: zastanawia go twarz drużynowego, Tomka Piskorskiego — sztywna, energiczna, władcza, zastanawia go kurz na półce z modelami mostów, białe rękawiczki asysty sztandarowej, a nadewszystko nastrój drużyny. Nawet wobec aktu przyrzeczenia chłopcy zwykle bałaganili, poszturchiwali się i dowcipkowali, dziś wszyscy byli poważni i jacyś obcy, a jednocześnie bliżsi.

— Druh Ciechanowski Mieczysław — wystąp!

Szybko poderwał się na baczność i wystąpił przed front drużyny.

— Druh Alfred Stojanowski — wystąp!

Z szóstego zastępu wystąpił mały blondynek i, nie czekając na hasło, zaczął, krztusząc się i rumieniąc, recytować Prawo Harcerskie.

— Druh Stojanowski — wstąp! Pada nowa komenda, harcerzyk opanowawszy się, robi wtył zwrot i ustawia się na lewem skrzydle.

— Mietku drogi! — zaczął przemawiać drużynowy — znamy ciebie wszyscy; nie jesteś ty małym dzieciakiem, któremu imponuje mundurek skautowy, krzyż błyszczący na piersiach, zabawy, podchodzenia i rozmaite „kimy"; nie jesteś ty chłopcem, zbliżającym się do przyrzeczenia dlatego, że inni to robią lub, że tak wypada — wiemy doskonale, dlaczego przez siedem blisko miesięcy nie przystępowałeś do przyrzeczenia: boś badał samego siebie, boś pytał: czy istotnie chcę realizować Prawo Harcerskie w ciągu swego życia, boś Mietku, nasz serdeczny przyjacielu, wahał się, nie chcąc nikomu z nas i sobie robić zawodu! Znamy cię — jeśli coś postanowiłeś, to napewno osiągniesz, napewno słowa swego dotrzymasz i dlatego z największą radością przyjmę ciebie do zwartego, silnego grona harcerzy!

Dość długo przemawiał drużynowy; w tonie jego ani razu nie zadźwięczała nuta nieszczerości. Mietek z dziwną radością podniósł swoją rękę do przyrzeczenia i głosem pełnym, lekko drżącym powtarzał za Tomkiem rotę przyrzeczenia.

On istotnie długo się wahał. Wiele rzeczy podobało mu się w Harcerstwie, a najbardziej treść prawa. Mietek jednak tak cenił swoje słowa, że wiedział: z chwilą złożenia przyrzeczenia nałoży na siebie pęta, które będzie napewno całe życie dźwigał. Zdecydował się jednak i nałożył krzyż harcerski.

Owacjom i „żabom" nie było końca, nawet zwykły dowcipniś Bolek Wierzbowski, nawet ten tylko raz uszczypnął go podczas „żaby", zapewniając na głos, że prawdziwy harcerz powinien gwizdać, gdy go boli naprzykład gardło.

Tak, powinien gwizdać! O tem przekonał się Mietek już na drugi dzień, gdy otrzymał okresową cenzurę: „matematyka —2, historja — 2" widniało na cenzurze piątoklasisty.

Z jednej strony duma z noszenia krzyża, z drugiej — obawa, prędzej nawet smutek wobec zupełnie niespodziewanych, aż dwóch niedostatecznych stopni! Wiedział zupełnie dobrze o tem, że nie bardzo jest silny w matematyce, jednak wobec ostatniej klasówki, z której otrzymał ds. i ustnej odpowiedzi (też ds.!), był pewny trójki na półrocze! A z historji to już całkowita niespodzianka!

Nie dawał się przygnębieniu podczas całej podróży pociągiem z Rawicza do Brunatowa, dopiero usadowiwszy się wygodnie w saniach, zaprzężonych w parę mocnych koników, oddał się szarpiącym myślom.

Najwięcej martwił się wrażeniem, jakie wiadomość o dwójkach wywrze na ojcu. Znał go bardzo dobrze. Doskonale odczuwał, że ojciec jest dumny ze swego jedynaka, że się nim szczyci, i, kryjąc uśmiech pod sumiastym wąsem, niby to groźnie spoziera swojemi szaremi męskiemi oczyma. Nie ucieszy go nawet krzyż, nawet opowiadanie o tem, że syn jego, choć uczeń V. klasy, został wybrany do zarządu Bratniej Pomocy, nawet opowiadanie o tem, że Mietek dawał już korepetycje za 12 zł. miesięcznie, nie sprawi panu Mikołajowi przyjemności wobec dwóch niedostatecznych.

Zimowy zmrok szybko ogarnął pola. Śnieg pruszył i wiatr co chwila smagał po twarzy i zaglądał do rękawów, za nauszniki, wciskał się pod koc, wypędzając, skąd tylko się dało reszki ciepła.

Mróz i zapadająca noc jeszcze bardziej rozżaliły Mietka do całego świata. Szczelniej owinął się kocem, głębiej usiadł w saniach i toczył okiem po bezlistnych, szumiących konarach drzew.

— Jak ja mu powiem, jak ja mu powiem? — zadawał sobie po tysiąckroć pytanie, na które miał tysiąc odpowiedzi, lecz żadna go nie zadawalała. Ostatecznie zdecydował, że powie mu odrazu przy powitaniu.

Po dobrej godzinie jazdy, sanie przebiegły wieś Brunatowo i zatrzymały się na skraju, przed parterowym, krytym blachą domkiem, tak zwanym małym dworkiem, ponieważ pan Ciechanowski był właścicielem niewielkiej sadyby w tej wsi.

Psy obskoczyły wysiadającego Mietka; służąca wyszła na ganek, zasłaniając ręką migocące światełko lampy — ani ojca, ani matki nie było.

Tknięty niedobrem przeczuciem, szybko wbiegł Mietek do przedsionka.

— Dobry wieczór! A gdzie pani?

— Pani w sypialnym; przy panu!

Mietek czemprędzej zrzucił przysłane mu do okrzycia futro, zdjął palto, nauszniki i rękawiczki.

— A co, tatuś może chory?

— A to pan nie wie? Bardzo chory! Już od trzech tygodni choruje.

Mietek przypomniał sobie, że ostatni list matki, otrzymany parę tygodni temu, był bardzo lakoniczny. Chciał już biec do sypialnego pokoju, gdy wtem śpiesznie wyszła naprzeciw pani Ciechanowska i zaczęła go witać po matczynemu: z płaczem i zachwytem.

— Już mu lepiej, już mu lepiej! — uspakajała syna, nie martw się, dziecino, dziś znowu był doktór i mówił, że kryzys już minął i trzeba tylko jaknajwięcej spokoju i wygody.

Jak błyskawica przeszyła jego mózg myśl, co on ojcu teraz powie, właśnie teraz, gdy doktór zaleca zupełny spokój, ponieważ zapalenie mózgu wymaga najtkliwszej opieki i nerwowej ciszy.

Co teraz będzie? Co teraz będzie? — znów zadawał sobie męczące pytanie i nie miał na to żadnej odpowiedzi.

Ogrzał się w jadalni i poprzedzany przez matkę wszedł do sypialnego pokoju.

Nic się nie zmieniło. Nad łóżkiem ojca stary, wytarty dywan, dwie skrzyżowane szable, pistolet, kaukaski kindżał, ryngraf w głowach i obraz Chrystusa poczerniały, stary, a tak niesłychanie swój, drogi. Na nocnej szafce paliła się przyćmiona lampka, zasłonięta rozstawioną książką, moc buteleczek, zapałki, robótka pani Ciechanowskiej i list Mietka, pisany przed tygodniem. W całym pokoju, a nawet w przyległych odczuwało się mocne zapachy lekarstw.

Chory powoli, z trudem odwrócił głowę. Twarz wychudzona, pokryta zarostem, oczy błyszczące, ręka zmarszczkami pokryta, wyschnięta, kredowa.



Strumień pod Morskiem Okiem. Fot. Wł. Miedniak

Mietek przypadł do tej ręki ze łzami w oczach i nie mógł oczu podnieść. Wielki żal ściskał za gardło, słowa powitania nie mogły wydostać się nazewnątrz, tak oszałamiający był widok ojca.

Pan Ciechanowski coś zaczął szeptać. Lekki uśmiech wykwitł mu na spalonych przez gorączkę ustach.

— Synu mój! — zdołał tylko wypowiedzieć. Płacz powstrzymały, nabrzmiały oddawna wstrząsnął nagle ramionami chłopca. Spazmatycznie starał się zdusić go w sobie, lecz nie mógł: dygotał cały, zaciskał zęby, a łzy płynęły, płynęły.

Podniósł wzrok. Ojciec patrzał na syna, a po policzkach spływały duże łzy — pierwsze łzy, jakie Mietek ujrzał u ojca. Znać choroba mocno nadszarpnęła tym człowiekiem, jeśli pozwolił radości łzami spłynąć.

Znów coś szepnął i uśmiechnął się.

— Widzę . . . krzyż . . . Wzrokiem wskazał na znaczek harcerski.

Mietek patrzał szeroko otwartemi oczami i czuł, że ot, lada chwila, lada moment, padnie owo straszne pytanie. Prawie przestał oddychać, wpatrywał się tylko w wynędzniałą twarz ojca, widział popękane usta, lód na głowie, i jarzące się gorączką oczy.

— A jak . . . cenzura?

Potężnym wysiłkiem woli Mietek opanował się, i spokojnie bez zmrużenia ócz odpowiedział:

— Doskonale, tatuśku, ani jednej dwójeczki!

Skąd to u niego się wzięło? Jak mógł coś podobnego powiedzieć, on, harcerz i to jaki harcerz!? Zobaczył twarz Tomka Piskorskiego, rumianą twarz małego Alfreda, ponownie odczuł nastrój owego dnia, gdy składał przyrzeczenie . . .

I tak minęło kilka dni. Dwudziestego czwartego grudnia zebrali się wszyscy na wilję przy łóżku chorego. Pan Ciechanowski czuł się znacznie lepiej. Zrana rozmawiał, nawet raz roześmiał się; dopiero wieczorem posmutniał. Matka tłumaczyła tę zmianę tem, że to pierwszy raz mieli mieć taką wieczerzę. Ale było inaczej.

Gdy stół już był nakryty i pani Ciechanowski przełamała się opłatkiem z mężem, a później ciotką i synem, podszedł Mietek do ręki ojca.

— Odejdź precz! — nagle zagrzmiał surowy głos, — z kłamczuchem nie przełamię się opłatkiem!

Mietek zbladł. Zawirowały mu myśli w szalonem pędzie. Nieprzytomnie patrzał na surową twarz ojca i nie mógł wyrzec ani słowa.

— Co patrzysz, kłamco! Twierdziłeś, że nie masz ani jednej dwójki, a dziś przyszedł list od dyrektora, w którym zawiadamia mnie, że masz dwa niedostateczne: z matematyki i historji!

Ach, jak ojcu wytłumaczyć, jak prosić o przebaczenie? . .

Pani Ciechanowska zaskoczona okropnem wzburzeniem męża, nie odzywała się zupełnie.

— Mika! Ależ zupełnie niesłusznie karcisz Mietka! Przecież on tylko dlatego odrazu nie powiedział ci prawdy, bo nie chciał ciebie martwić podczas choroby, natomiast zaraz po przyjeździe przyznał mi się do tych dwójek i miał zamiar powiedzieć ci później wszystko: Widzisz, jak to źle nie mówić żonie o swoich zmartwieniach — i pilnie, pilnie wpatrzyła sę w oczy syna, który parę dni temu złożył przyrzeczenie harcerskie . . .

Mietek zrozumiał.

Gdy się kładli spać, poszedł do pokoju matki:

— Matuśko! Ja tak powinienem był postąpić!

OD REDAKCJI.

Numerem niniejszym zamykamy drugi rok naszego wydawnictwa. Spiętrzył on przed nami mur przeszkód — zdawało się nie do zwalczenia. Szczęśliwie jednak zdołaliśmy je usunąć.

Nowy rok zaczniemy z perspektywą jaśniejszej przyszłości. Budujemy ją przedewszystkiem na zwiększającej się gromadzie wiernych przyjaciół, utrzymujących z nami stały kontakt, na wzrastającej liczbie czytelników i... na doświadczeniu jakie wynieśliśmy z dwuletniej pracy.

Serdecznie dziękujemy tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób z nami współdziałali: ofiarnym współpracownikom, dzielnym kolporterom, bezinteresownym propagatorom. Dziękujemy tym wszystkim, którzy w licznych listach dawali nam dowody łączności z nami. Podwójnie im dziękujemy, z listów tych bowiem czerpaliśmy zachętę i podnietę do dalszej, nieraz bardzo trudnej, pracy.

Dziękujemy wreszcie tym wszystkim Komendom Chorągwi, Hufców i Drużyn Harcerskich, tym Zrzeszeniom i Organizacjom Młodzieży, które były łaskawe pismo nasze popierać.

Z Nowym Rokiem przesyłamy wszystkim naszym Czytelnikom, Korespondentom, Współpracownikom i Przyjaciołom jak najlepsze życzenia.

WŁADYSŁAW MIDOWICZ.

ZWIERZENIA POŁAMANEJ NARTY.

(Humoreska).

Jestem starą, połaman aż na trzy kawałki, nartą i wśród liści gnijących i gałęzi, spoczywam już od roku w lesie na Baraniej Górze, zapomniana przez wszystkich swych właścicieli, a nawet przez tego ostatniego, który mię tu niehonornie zgubił.

Leżę i rozpamiętywam zawiłe koleje mego żywota, oraz swych wszystkich kochanków — butów narciarskich, z których każdy twierdził zawsze zajadle, że właśnie jego smarują najlepszym smarem, a wszyscy razem byli nałogowymi pijakami wody śniegowej.

Mimo losu jednak, który mię stale prześladuje, czuję się na siłach, by twierdzić, że epopeja ma jeszcze nie skończyła się. Tak samo twierdził kijek narciarski zgubiony razem ze mną i już następnego dnia znalazła go baba zbierająca chrust do pieca.

*

Pech prześladował nietylko mnie, lecz także moją mleczną siostrę. — Byłyśmy obie pięknemi i prostemi konarami starego jesionu co rósł koło Walczaków na rozstaju i pod którym robiło nieraz brudne interesy dwuch żydków zakopiańskich, z których jeden zwał się Pechvogel, a drugi ofiarował swe nazwisko na rzecz albumów kryminalnych. Późnym popołudniem przechodził także często miejscowy fabrykant nart i ciskając łakome spojrzenia na naszego dostojnego Ojca, oblizywał się ukradkiem. — Czułyśmy, że to wszystko nie wróży nic dobrego.

Co tu dużo mówić — któregoś pięknego wieczoru powędrowałyśmy pod piły i heble fabryczne i niedługo postawione w kącie sklepu jako para wyborowych nart, czekałyśmy nabywcy.

Ja sama miałam trzy sęki — jeden z przodu, jeden z tyłu i trzeci pod uprzężą, ale tęgi pan co nas sprzedawał, był też nie w ciemię bity.

—Proszę pana, mówiła jakaś umalowana sportsmenka — ależ ta narta ma sęk z przodu!

— To nic nie szkodzi łaskawa pani — grunt, żeby tył był bez skazy.

— Ależ ona ma sęk i z tyłu.

— Możliwe — lecz zato w środku jest solidnie wykonana.

— Jakto? — przecież pod temi żelazkami także sęk!?

— To bywa — ale zato między środkowym sękiem, a przednim i tylnym — to fabrykat jak złoto! — Zresztą, to taki specjalny gatunek drzewa, co rośnie już razem z sękami.

— No dobrze, a czem się to przypina do nóg?

— Tylko wiązaniami typu „Bildstein", łaskawa Pani! — Wprawdzie są nieco droższe, ale zato idąc pod górę, wystarczy tylko kiwać się naprzód i wtył, a te sprężyny to już same popychają narty.

Te argumenty poskutkowały i wykosmetyczona Pani poniosła nas tryumfalnie do pensjonatu. Ale już za drzwiami pokoju cały zapał sportowy znikł jak marzenie i ciśnięto nas z hałasem za gorący piec, który roznamiętniwszy się do ostateczności, wydawał jakieś dziwne brzuchomówcze odgłosy.

— Gorąco! — rzekłam siostrze, rozsychając się i pierwszy sęk wypadł ze mnie na podłogę.

Następnego przedpołudnia, właścicielka nasza ubrana bajecznie kolorowo, wzięła nas na ramię, potem już na ulicy przypięła mą siostrę z prawej — na lewą nogę, mnie zaś odwrotnie i skinęła na przejeżdżającego „fiokra". Ten zatrzymał sanki, uwiązał ją na grubym powrozie z tyłu i tak zetknęłyśmy się po raz pierwszy z nieodłącznym śniegiem.

Nasza pani rozpowiadała przedtem wszystkim, że idzie na Garłuch, a może wstąpi po drodze na Lodowy, bo pasjami lubi samotne wycieczki, — ale w tem musiało tkwić jakieś nieporozumienie, albo nas ta stara para nart z wypożyczalni fabrycznej, brzydko okłamała, twierdząc, że Garłuch, to wielki szczyt skalny.

Sanki zatrzymały się bowiem przed oszkloną werandą i tabliczką z napisem: „Karpowicz" — ze środka tego punktu wycieczkowego sączył się gwar i zapach wszelkich alkoholi, a jakiś dziwny ptak, który, jak potem dowiedziałyśmy się, nazywał się „jazz", wrzeszczał na całe gardło.

Nasza pani oparła nas o ścianę i weszła do środka. — Widziałyśmy ją przez szybę, jak objąwszy się z jakimś panem, nie mogła się z nim zgodzić co do kierunku rytmicznego ruchu, bo gdy on przemaszerował z nią w jeden kąt sali, wówczas ona prowadziła go zaraz z uporem w drugi.

Tymczasem z wnętrza lokalu wyszedł jakiś inny narciarz, niepewnie chwiejący się na nogach i przypiąwszy nas przez pomyłkę do swych butów, pojechał środkiem ulicy, gwiżdżąc ostrzegawczo na wielkiej syrenie i okładając oboma kijkami nieustępujących mu z drogi. — Policjant przed pocztą, zobaczywszy go zdaleka, umknął natychmiast, gwiżdżąc na alarm, a nasz nowy władca, sądząc, że mu się przedrzeźnia, gonił go, zawzięcie wygrażając kijem.

— Jak dowiedziałyśmy się z dumą nazajutrz, nasz nowy pan był narciarzem niebylejakim i to zawodnikiem. W imieniu miał Walentego, a w nazwisku cyfrę rzymską, buty zaś smarował tylko czystym rycynusem, podgrzanym na wolnym ogniu do 67 i ćwierć stopnia Celsjusza.

Nasz pan miał nart różnych dużo, a na nas jeździł tylko po górach, objeżdżając przez jeden dzień niezliczoną ilość szczytów i przełęczy. Na każdem takiem miejscu wtykał swój bilet, na którym pisał — we wielu minutach i częściach sekundy, przybył tu od ostatniego postoju, poczem zjadał jedną bułkę i zaraz jechał dalej, zawsze bardzo się spiesząc. Gdy już późnym wieczorem zjeżdżał ku Zakopanemu i był śpiący, wówczas nastawiał sobie budzik i przywiązywał do szyji, poczem jechał dalej, śpiąc już w najlepsze i automatycznie czyniąc wszelkie zwroty, a budzik zawsze zaczynał dzwonić, gdy już dojeżdżałyśmy do jego willi. — Raz coprawda spóźnił się i zadzwonił dopiero przed Trzaską, ale nasz pan zbudziwszy się orzekł, że to już widoczny znak opatrzności i poszedł do środka. Wyszedł stamtąd dopiero nad ranem(znowu mocno chwiejąc się i zaraz wylazł razem z nami na stos kamieni z budującej się od 5 lat, drogi i przez pół godziny krzyczał „hop! hop!", sądząc, że znajduje się na którymś szczycie. Ponieważ mu jednak nikt nie odpowiadał, więc wetknął i tutaj swój bilet wizytowy i wziąwszy nas pod pachę, pognał do domu.

Z naszym sławnym Panem byłyśmy również na otwarciu skoczni pod Krokwią. Słyszałyśmy jak mówił do kogoś, że to dobra skocznia, bo na cmentarz od niej niedaleko, a do Schielego po nowe narty, też. Mniej wtajemniczeni narciarze twierdzili, że po skoku z tej skoczni będzie się lądować na samym środku rynku. — Tymczasem pierwszy skoczek skoczył na 30 metrów i nawet nóg nie połamał.

My zaś niedługo zmieniłyśmy właściciela znowu. Był to taki zwarjowany malarz, co nas kupił od naszego zawodnika, a za osobisty podpis zieloną farbą na każdej z nas, dołożył mu jeszcze po 5 złotych.

Nasz malarz to był człowiek dziwny. Od samego początku będąc w stanie nietrzeźwym, nie potrafił przypiąć nas

porządnie do swych ogromnych butów, aż wreszcie rozzłoszczony — przybił na stałe gwoździami. — Odtąd przed każdem schroniskiem zdejmował nas razem z butami i wchodził w skarpetkach na ogólną salę.

Ten trzeci właściciel dawał wogóle dużo emocjonujących chwil. Raz „zawiawszy" się nieco, stanął w biały dzień na środku Krupówek i za nic nie chciał ruszyć się z miejsca, twierdząc, że znajduje się na bardzo trudnym punkcie i ma przepaść przed sobą. Zrobił się zaraz cały zator z „fiokrów" i musiano wezwać Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, które asekurując go prawidłowo linami na okolicznych rynnach i latarniach, zdołało odprowadzić tego upartego człowieka aż do samego domu.



Fot. Wł. Miedniak.

Na leśnem zboczu.

Karjerę narciarską skończył nasz malarz szybko i to do tego na Lipkach. Ćwicząc tam zawzięcie wśród tłumów obojga płci, zapomniał się znowu; — ruch między tłumami ćwiczących regulował mianowicie policjant i każdy narciarz musiał mieć w dzień numer porządkowy z przodu, a wieczorem czerwone światło z tyłu. — Tymczasem nasz malarz zaświecił sobie któregoś wieczoru czerwone światło z przodu, a numer wywiesił nieprawidłowo z tyłu i zato odebrano mu prawo jazdy na dwa tygodnie. — A że za kilka dni wyjeżdżał z Zakopanego wogóle, więc sprzedał nas czemprędzej razem z przygwożdżonemi butami i podpisem sławnego zawodnika, początkującemu narciarzowi z Górnego Śląska.

Teraz już zrozumią wszyscy, dlaczego ja — stara, połamana narta, w rzeczy samej rodowita Zakopianka, spisuję tę opowieść na stoku — Baraniej Góry. Cóż bowiem zrobiłby narciarz górnośląski, gdyby tej górze kazał dobry, narciarski Pan Bóg, zapaść się w czeluści piekielne?

Nasz ostatni właściciel również nie był bylejakim chłystkiem i piastował poważne godności w śnieżnym sporcie. Wyjeżdżał on co soboty na wycieczkę, ubrany w żółte buty, zielone owijacze, czerwoną krawatkę i niebieski szalik, a w worku oprócz pantofli nocnych, pyjamy i kapturka z chwaścikiem, posiadał również 25 kg. prowiantu w konserwach, dwie maszyny do gotowania, podręcznik narciarski i szczegółowy rozkład zjedzenia wszystkiego w odpowiednim czasie i na oznaczonych kartometrycznie punktach.

Po górach jeździł nasz ostatni pan, samotnie, a gdy był w dobrym humorze to wołał ustawicznie: — Cześć Beskidom! Cześć nartom! Cześć śniegom! — Ten okrzyk ostatni wypowiadał już zwykle szeptem, tkwiąc z głową po pas w śniegu, podczas gdy my, uczepione do jego szczupławych nóg, chwiałyśmy się bezradnie w powietrzu.

Nasz dygnitarz miał jednak zasady stałe. W schronisku jadał tylko „wieprzową z kapustą" i wypijał 5 białych „Żywców", zapalając po tej uczcie grube jak marchew, cygaro. Gdy mu się w terenie jakaś ewolucja nie powiodła, wówczas wyjmował podręcznik narciarski, otwierał na odpowiednim obrazku i trzymając go w lewej ręce — ćwiczył aż do skutku.

Przez cały tydzień spędzony w mieście, mówił nasz właściciel do radja i brał nas wówczas z sobą. — Każdą audycję otwierał bowiem specjalnym sygnałem wywoławczym, zderzając mię razem z siostrą kilkakrotnie, a gdy już trzask nasz brzmiał dość silnie i charakterystycznie, wówczas zasiadał przed walcowatem pudełkiem na kozłach i mówił długo i statystycznie o swym klubie narciarskim, który, jak zdołałyśmy się wreszcie dorozumieć, tylko przez przeoczenie nie był najlepszym w Polsce. Poczem przypinał nas z miejsca i z hukiem i trzaskiem wyjeżdżał ze studja na ulicę.

Nie przeczuwałyśmy nawet, że już niedługo rozłączymy się obie i że ja sama zaginę bezpożytecznie. — A miało to już nastąpić niedługo.

Otwierano właśnie skocznię na Baraniej Górze i nasz ostatni posiadacz wybrał się również na tę uroczystość. — Długo szukaliśmy tej skoczni w gęstym lesie, aż nareszcie sygnał akustyczny dawany z niej co minutę, zgromadził wszystkich narciarzy razem. — Na skocznię tą poszukiwano widocznie najbardziej zakrytego miejsca, aby jej nie rozkradziono po kawałku, a słyszałyśmy również, jak mówił jakiś starszy pan, że skakanie w lesie dobrze działa na psychikę zawodników. Dlatego tylko część lasów miano wyciąć na Górze Baraniej pod przyszły teren narciarski, resztę natomiast postanowiono zostawić dla skoczków.

Było bardzo dużo przemówień i wogóle piękny dzień. — Nasz pan był bardzo szczęśliwym i upojonym, że zjeżdżając wieczór w doliny puścił się nieroztropnie pędem po wielkiej hali, krzycząc: — cześć śniegom! —

I to go zgubiło, a w każdym razie mnie. Tuż przed lasem bowiem, zachwiał się nagle i wielki tuman śniegu wyleciał w powietrze. — Uczułam silny ból i rozlatując się w trzy kawałki, spadłam daleko w młody las, gdzie aż do dzisiaj leżę.

Nasz właściciel powstał wreszcie i nie znalazłszy mię nigdzie, podpierając się mą, zrozpaczoną tym wypadkiem, siostrą, zaczął schodzić zwolna już na własnych nogach, mrucząc: - *Sapieruna z temi patykami!*

Widziałam go jeszcze przez chwilę, jak wśród nadchodzącej mgły wieczornej, znikał w zaśnieżonym lesie.





O SAMOCHODACH, MOTOCYKLACH I SAMOLOTACH SŁÓW KILKA.

Wiek XIX nazywamy wiekiem pary i elektryczności, natomiast wiek bieżący można śmiało nazwać wiekiem motoru wybuchowego, gdyż sukcesy jego na lądzie, wodzie i w powietrzu dają mu wyższość nad wszystkiemi innemi silnikami. W niniejszym artykule zajmę się przedewszystkiem samochodem jako obecnie najważniejszym środkiem lokomocji, zaopatrzonym w motor wybuchowy.

Rok 1929 nie przyniósł nam żadnych epokowych wynalazków w dziedzinie samochodów, był jednak rokiem wytężającej pracy na polu udoskonalenia i uprzystępnienia samochodu. Na pierwszem miejscu należy postawić prawie że powszechne zastosowywanie silnika 6-cio cylindrowego, silnik tego typu pracuje bowiem bardzo równo i ciągnie świetnie nawet na małych obrotach, przez co odpada konieczność ciągłego zmieniania biegów, która to czynność dla niewprawnego kierowcy jest dosyć uciążliwą. Dzięki równomierności pracy zaoszczedza się również całe podwozie, które nie ulega ciągłym wstrząsom, jak to ma miejsce przy motorze dwu lub czterocylindrowym. Widomym znakiem zwycięstwa silnika sześcio-cylindrowego jest fakt, że największa fabryka samochodów t. j. zakłady Henry Forda w Detroit w najbliższym czasie przechodzą na ten typ, przyczem mają zastosować drugie ulepszenie t. j. napęd na przednie koła.

Urządzenie to, jakkolwiek dosyć kosztowne, bardzo ie opłaca, ponieważ usuwa ono prawie zupełnie skłonność do ślizgania się samochodu na błocie lub śniegu i pozwala na szybsze branie zakrętów bez obawy „zarzucenia“.

Napęd taki poraz pierwszy zastosowany był przez konstruktora amerykańskiego, Millera, do samochodów wyścigowych, które odniosły szereg sukcesów na torach tak Ameryki, jakoteż i Europy. Ford nie jest pierwszym, który zastosuje tę innowację do wozów seryjnych, gdyż ubiegły go dwie fabryki francuskie: Tracta i Bucciali, które już od kilku lat produkują samochody tego typu, jednak w małych bardzo ilościach i po dość wysokich cenach, również dwie fabryki amerykańskie: Auburn-Cod i Ruxton produkują wozy tego typu, wykorzystując patenty Millera, ale także każą sobie za to słono płacić (około $ 3500,—). Ford będzie pierwszym, który da publiczności taki samochód po względnie niskiej cenie.

Do drobnych ulepszeń z 1929 r. należą: filtry do powietrza, oliwy i benzyny, niedopuszczające ciał obcych do wnętrza motoru i zmniejszające przez to zużycie łożysk, osadzanie się węgla w głowicach cylindrów i wytarcie ścian cylindrów. Dla skrócenia czasu potrzebnego na smarowanie podwozia stosuje się t. zw. smarowanie centralne, polegające na tem, że obok siedzenia kierowcy znajduje się pompka ze smarem, połączona rurkami z łożyskami podwozia, jedno jej pociśnięcie wystarcza do nasmarowania wszystkich, potrzebujących tego zabiegu, części. Kto nigdy nie smarował samochodu, nie potrafi ocenić, ile czasu tak proste urządzenie zaoszczędzi.

Na zakończenie części samochodowej mego artykułu zaznajomię czytelników z konstrukcją nowego potwora, który ma pobić dotychczasowy rekord szybkości samochodowej należący do Sir Henry Segrave'a, na samochodzie „złota strzała“ km./godz. Potwora tego budują zakłady Sunbeam w Anglji pod kierunkiem inż. Louis Coatalen'a, naczelnego konstruktora powyższych zakładów. Samochód ten zaopatrzony jest w dwa 12 cylindrowe motory z kompresorami, z których każdy rozwija siłę około 2000 koni par. Mimo tak potężnych motorów samochód będzie względnie mały, gdyż wysokość jego nie przekroczy 1 m. a waga 3,5 t.

Z kolei zajmiemy się motocyklami, których ojczyzną jest Anglja, produkująca większą cześć jeżdżących po świecie motocykli. I w tej dziedzinie ubiegły rok nie przyniósł żadnych epokowych wynalazków i ulepszeń. Ogół motocyklistów wzdycha do motoru wielocylindrowego (cztero), średniej siły (600 ccm.), przytem dość lekkiego (nie powyżej 150 kg.), a tymczasem większość fabrykantów obdarza nas motorem jedno cylindrowym, typu sportowego, wysoko-obrotowym o dużej kompresji, której przezwyciężenie, w celu puszczenia w ruch, wymaga dużego zasobu sił fizycznych, pozatem motor taki wymaga ciągłego użycia skrzynki biegów, która wprawdzie pozwala na doskonałe wykorzystanie motoru, ale każdy kto chociaż trochę jeździł na motorze w mieście, szczególnie po błocie, wie, że lepiej kierownicę trzymać dwoma rękami niż jedną podczas, gdy druga zmienia bieg. Kilku tylko fabrykantów używa motorów dwu-cylindrowych, o cylindrach rozstawionych o 180°, które są prawie tak dobrze zrównoważone jak 6-cio cylindrowy silnik samochodowy, a które wartość swą udowodniły ustanawiając światowy rekord szybkości dla motocykli wszystkich kategorji (216.8 km/godz.). Rekord ten należy do Niemca Henne na motorze B. M. W. Anglicy są bardzo zmartwieni, że rekord ten będący stale ich własnością, powędrował do Niemiec i wszelkiemi siłami będą się starali swą własność odzyskać, prawdopodobnie pracę tę spełni fabryka Douglas, produkująca doskonałe dwucylindrowe motory.

Również i wśród fabrykantów motocykli zauważyć się daje dążność do ulepszania szczegółów, jak np. smarowanie motoru, oświetlenie elektryczne. W tym roku jedynie f-ma Matchless skonstruowała motor, prawie że zupełnie różny od dotychczasowych swych produktów; t. z. „srebrną strzałę“, mającą w części zaspokoić ludzi marzących o idealnym motocyklu.

Jest to motocykl 2-cylindrowy o pojemności 400 ccm. z ramą resorowaną, przytem nie drogi, ale ...nie wiadomo jak się będzie sprawiał, gdyż jest zupełnie nie wypróbowany. W każdym razie można śmiało powiedzieć, że w konstrukcji motocykli ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane.

Jeżeli przyjrzymy się rozwojowi lotnictwa, to zauważymy, że idzie on w dwóch kierunkach, sportowym i komunikacyjnym. W lotnictwie sportowem przodują obecnie Anglicy tak pod względem ilości lotników jak i doskonałości swych aparatów, które jak np. Moth produkowany w zakładach De Havilland jest kopjowany w wielu fabrykach na kontynencie (Niemcy, Czechosłowacja i w. i.). Na szczęście na tem polu i nasza Ojczyzna nie pozostaje w tyle, dzięki doskonałym konstrukcjom jak R. W. D. studentów politechniki warszawskiej (Raid do Hiszpanji) i Pta-Pta, Lubelskiej Fabryki Samolotów. Jeżeli natomiast zainteresujemy się lotnictwem komunikacyjnem, to stwierdzić musimy, że na czele jego kroczą Niemcy, dzięki swym zakładom Junkersa, Dorniera (Do X. wodnopłat. 12-to motorowy, dźwigający 160 osób) i wielu innym. Ciekawą jest walka konkurencyjna między samolotami i balonami. Pierwsze są szybsze, tańsze i łatwiejsze do przechowania, za użyciem drugich przemawia: większy promień działania, lepszy współczynnik bezpieczeństwa, większy udźwig, jednak wysoka cena i trudności połączone z budową odpowiednich hangarów przechylają szalę zwycięstwa na stronę samolotów. W każdym razie niedaleki jest dzień, kiedy będzie można, dzięki jednym i drugim, odbyć podróż naokoło świata w czasie, który Verne'mu wydałby się fantastycznym.

Na zakończenie wspomnę o sporcie, który przyszedł z Ameryki i w krótkim czasie zdobył szeregi zwolenników w całej zachodniej Europie. Jest to jeżdżenie łódką z przyczepnym motorem. Motor taki o wadze od 20 do 50 kg. rozwija siłę od 10 do 20 kilku K. M. i pędzi łódkę, zależnie od konstrukcji i obciążenia, z szybkością dochodzącą do 70 km/godz., przytem kosztuje nie więcej niż 5000 zł. Każdy kto zaznał rozkoszy sportów wodnych oceni to ogromne ułatwienie, jakie daje użycie takiego motoru, w ich wykorzystaniu.

J. T. F.

Z ŻYCIA SZKOLNEGO.

SZKOLNA GAZETKA ŚCIENNA.

Uwagi na marginesie pszczyńskiego „Lotu harcerek".

Nie wiele pisze się i myśli u nas o szkolnych gazetkach ściennych. Rzecz to naogół nieznana i zdaje się (podpisanemu przynajmniej niewiadomo o tem) nigdzie niewprowadzona u nas w życie. Realizując pomysł gazetki ściennej w drużynie harcerskiej przy gimnazjum żeńskiem w Pszczynie (G. Śląsk) — nie mieliśmy żadnych wzorów, na których możnaby się oprzeć. Potrzeba gazetki ściennej wypłynęła w naszych myślach całkiem przypadkowo. Pragnęliśmy wydać drukiem pisemko pszczyńskiej młodzieży szkolnej, o czem nawet radzono na zebraniach Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych. Na drodze, jak zwykle u progu podjętej pracy — ściele się szereg przeszkód. Projekt rozbija się przedewszystkiem o brak funduszów. Cóż począć? W jaki sposób skłonić młodzież do pisania artykułów, których wydrukować nie można? Dlaczego młódź nie ma opisywać przerozmaitych wrażeń, których taka moc kotłuje w młodych umysłach? W jakiż sposób wyławiać talenty, przejawiające się w rozmaitych kierunkach?

Czyż opłaci się zresztą włożyć wiele wysiłków w drukowane pisemko, które po paru numerach zazwyczaj, jak z doświadczenia wiemy — kończy swój żywot?

— Piszcie koleżanki o wszystkiem, co przeżywacie i co was interesuje! Takie pada hasło. Pocóż? — Przybijemy na ścianie i młodzież całego zakładu będzie wasze artykuły czytywać. Tak zrodził się pierwszy numer ściennej gazetki p. t. „Lot harcerek". W słowie wstępnem od redakcji czytamy: „Chcemy w harcerstwie szukać ożywczych idei, któreby poprowadziły nas w świetlaną przyszłość i uczyniły najlepszemi ze wszystkich. Do pracy, do której porwałyśmy się w szczupłem gronie — pragniemy wciągnąć wszystkie koleżanki, myślące i czujące, podobnie jak my. Nie zakreślamy narazie szerokich planów; wolimy zacząć od mała, aby potem dążyć coraz wyżej, aby wzlatywać Ikarowym lotem o tyle szczęśliwszym, że nas w pobliże słońca zaprowadzi!" W pięciu numerach, jakie dotąd ukazały się — spotkamy następujące artykuły: Harcerka wobec przyrody, Coś o obozie (wspomnienie z Bucza), Przyjazd na obóz do Rokitna (wiersz), Emilka (nowelka), Zabytki sztuki w Pszczynie, Cześć bohaterstwu (o K. Pułaskim), Śląsk a Polska za Jana III., Poznań (z okazji zamknięcia P. W. K.), Wycieczka do Cieszyna, Groch z kapustą, czyli nasza kronika oraz stałe działy — przegląd naszej pracy, nasze życie i trochę humoru.

A teraz damy parę uwag odnośnie do technicznej strony gazetki. Najlepiej drukować na arkuszach kancelaryjnego papieru (w wypadku niedysponowania maszyną do pisania — ręcznie zapisać wyraźnem pismem), oczywiście na jednej stronie i potem np. trzy zapisane arkusze zlepione z sobą w widocznem i dobrze oświetlonem miejscu wieszać na ścianie korytarza czy świetlicy. U góry dać ozdobny nagłówek. Dobrze jest umieszczać wśród treści aktualne rysunki lub fotografje z życia harcerskiego czy szkolnego. Dobór treści winien być jaknajbardziej różnorodny. Artykuły przedyskutować na zebraniach komitetu redakcyjnego lub zbiórkach zastępów, to samo czynić z gotowym już numerem gazetki. Artykuły lepsze wywołują nie tylko zainteresowanie, lecz nawet entuzjazm wśród słuchaczy. Młodzież chętnie pisze i czyta swoje własne utwory.

W tej kuźni młodej myśli znajdzie podnietę do tworzenia, zaczerpnie sił do dalszej pracy, bo wskazówki i uwagi nauczą ją pisać. Dlatego ścienna gazetka w szkole może spełniać funkcje naukową i społeczno-wychowawczą. Dlatego sprawą gazetki ściennej niechaj zainteresuje się nie tylko młodzież, lecz i element wychowawczy — nauczycielstwo.

Temat tu poruszony — chciałbym, aby wywołał na łamach naszego pisma, dyskusję, a wtedy wrócimy doń jeszcze.

Henryk Dobrowolski (Pszczyna).

Z CISOWEGO DWORKU.

Dworek Cisowy, 12. 12. 29.

Tak szybko rośnie i rozwija się Dworek, że my, jego stali mieszkańcy, poprostu przestajemy to spostrzegać i dopiero zdziwienie innych zwraca naszą uwagę na rozmaite zmiany.

Ostatnią i najbardziej interesującą nowiną jest to, że w Domu Ludowym zaprowadzono już radjatory. Przestały już rozmaite Halinki i Walki sypiać na ławkach i stołach w krakowskiej izbie i werandzie — z dumą opowiadają, jak u nich teraz ciepło i rozkosznie.

Minęły „Andrzejki", obfite we wróżby tajemne, a zawsze dla Starych Pudel łaskawe. Dnie grudniowe gnają szybko, śpieszy się im do Gwiazdki, do śniegu, jak naszym dzieciom, które już jeżdżą sankami po błocie, aby mieć choć złudzenie zimy.

Św. Mikołaj przychodził do Dworku aż dwa razy jednego wieczora. Najprzód widzieliśmy go jak siedział na obłocznym tronie w otoczeniu aniołków i djabełków i słuchał skarg „rozbitej szyby dworskiej", „półki w bucikarni", „poplamionego przydziału", „słodkiej szuflady" i t. p. Potem jednak zstąpił z wysokości i udzielił nam łaskawie słodkich darów. Przyjęliśmy go z zachwytem i pietyzmem, mimo że miał twarz Kokosi, a tamte duszki dworkowe były bardzo podobne do Kiki, Maji, Haneczki i innych. Późnym wieczorem, gdy dzieci spać poszły, przyszedł inny św. Mikołaj (może jaki samozwaniec?) przywitany prawdziwym huraganem śmiechu albowiem był tak wysoki jak Helenka, gdy usiądzie na ramionach Germaine, w długiem białem obleczeniu, mocno przypominającem prześcieradła, w haftowanej kapotce Haneczki na dziwnie jak na tak wysoką postać malutkiej główce. Był w towarzystwie małego, ładnego djabełka, który biedaczek niósł swój ogon w ręku, bo go się nie dało umocować przy kąpielowym kostjumie. Zato anioł był piękny i poetyczny jak staropudlana dusza: w długiej szacie, naszywanej pudełkami od cukierków, z tekturowemi skrzydłami i wysokiem, również tekturowem stożkowatem nakryciem głowy — wyglądał naprawdę stylowo.

Radosny szał obecnych dosięgnął szczytu, gdy św. Mikołaj niebaczny na powagę swej postaci, ani na adwent, począł na pożegnanie tańczyć coś pośredniego pomiędzy „shimmy" a „danse macabre" szkieletu. Owa dziwna postać gnąca się wiotko na wszystkie strony z gracją zwarjowanej nagle żyrafy wyglądała bajecznie.

Zato podarki były najoczywistszym humbugiem. Bo i cóż przyszło np. Kokosi z jej pięknych butów, o których głosił anioł, że są uczynione ze skóry hipopotama specjalnie dla niej przez Poznański Ogród Zoologiczny, aby chociaż tych nie zdarła w swych nieustannych i nieuchwytnych wędrówkach po całym domu — skoro okazało się, iż to są tylko nieprzemakalne angielskie buty Stefy z naklejoną na nich przezornie kartką: „do zwrotu po zabawie". My tu w Dworku jesteśmy „ofiarni i oszczędni".

Albo np. taka Halinka otrzymała zwykłą blaszaną pokrywę od kotła i wmówiono w nią, że to jest tarcza przeciwko „oczom czarnym, wilgotnym i ogromnym i takim samym nogom". Albo znów Lucynka, która nosi w Dworku poetyczne miano „śpiącej królewny", dostała od djabła następującą przemowę: „Czasy się zmieniają. Bajki idą z postępem. Oto jest królewicz, który cię obudzić ma, śpiąca królewno." I dano jej... budzik. (Oczywiście też do zwrotu.)

To też wobec bliskiej już „gwiazdki", życzę wam, Szanowna Redakcjo i sympatycznej Czytelnicy „Na Tropie", abyście otrzymali podarki mniej może wzruszające i dowcipne, lecz bardziej obfitujące w realne korzyści, mniej oszczędne, a bardziej ofiarne, co zresztą jest zgodne z naturą Polaka. No i oczywiście, z całym Dworkiem życzymy Wam pysznych świąt, wesołej zabawy, dużo śniegu i pogody, zarówno duchowej, jak metereologicznej.

Czuwaj! **Marol.**

ĆWICZENIA ZMYSŁÓW.

Reklamy. Zastępowy bierze kilka takich samych ulotek, reklam kinowych, czy prospektów, drze każdą kartkę w ten sam mniejwięcej sposób na kilkanaście kawałków i rozdaje członkom zastępu. Kto pierwszy z tych strzępków złoży całość — wygrywa.

Opuszczanie liter. Zastępowy wybiera sobie kilka zdań, które pisze na tylu kawałkach, ilu ma członków w zastępie. Pisząc, opuszcza jednak w każdem słowie po kilka liter. N. p. „Florkowi bardzo szybko upływały dni w tygodniu." — „Fl rk wi b rd o s zyb o u ływa y d i w t odn u."

Chodzi o to, aby jak najszybciej zrekonstruować całe zdanie.

Podobnie można wziąć krótki i łatwy wierszyk i opuszczać w nim słowa, których wymaga treść (jest, nie, dziękuję), znacząc kropkami ilość liter zawartych w opuszczonem słowie.

Składanie słów. Zastępowy wybiera dłuższe słowo zawierające dużo samogłosek (np. harcerstwo). Członkowie zastępu wypisują je sobie wyraźnie, a następnie starają się z liter zawartych w tem słowie utworzyć jak najwięcej słów (np. hart, chart, cera, ser, tor). W jednem słowie wolno użyć tylko tyle liter, ile ich jest we wzorze (jedno a, dwa r, jedno e itd.). Ćwiczenie rozpoczyna się na dany sygnał i na sygnał kończy się wypisywanie słów. Wszyscy odczytują swoje słowa, poczynając od tego, kto ich ma najwięcej. Słowa, które powtarzają się u dwóch, lub więcej uczestników gry, wykreśla się. Wygrywa ten, który ma najwięcej słów niewykreślonych.

Są słowa (krasnoludek, aeronautyka), z których można wypisać ponad 50 słów.

Ćwiczenie zmysłów łącznie z samarytaństwem.

Na ćwiartce papieru narysujemy kratkę na 9—12 pól, każde pole o boku nie mniej niż cm. W kratki wpiszemy kilka wypadków zatrucia: arszenikiem, fosforem, grzybami, esencją octową itp. Członkowie zastępu muszą z pamięci odrysować kartki, wpisując w miejsce zatruć odpowiednią odtrutkę. Możemy też umieścić w kratkach nazwy różnych roślin leczniczych, a członkowie zastępu niech napiszą nazwy chorób, w których się danej rośliny używa, albo też napiszą jaka część rośliny ma zastosowanie w lecznictwie, a więc: korzeń, liście, kwiat itp.

Naodwrót możemy wpisać w kratki nazwy różnych dolegliwości i każemy umieścić odpowiadające im zioła lecznicze. Trzeba jednak pamiętać o tem, że osobno musi się oceniać wykonanie ćwiczenia, jako ćwiczenia pamięci wzrokowej (umieszczenie odpowiedzi w odpowiednich kratkach), a osobno jako ćwiczenia samarytańskiego (dobre odpowiedzi).

Zamiast kratek można dawać różnej wielkości kółka z odpowiedniem pytaniem. Odpowiedzi trzeba układać według wielkości kółek. Na kółkach takich możemy napisać nazwy różnych leków z apteczki podręcznej, a na ich miejsce zastęp napisze zastosowanie.

Albo wytniemy z kartoniku różne figury geometryczne (kwadrat, trapez, romboid, koło, prostokąt), na których napiszemy różne nieszczęśliwe wypadki jak: udar słoneczny, zemdlenie, zaczadzenie, nieznana choroba itp. Zastępowi polecimy narysować figury i napisać na każdej z nich, co można dać do picia w każdym poszczególnym wypadku: wodę, czarną kawę, czy wogóle nic itd.

Możemy też głośno odczytać dwu- lub nawet trzykrotnie spis lekarstw, jakie w każdej apteczce podręcznej się znajdować powinny. Członkowie zastępu zapamiętawszy je w tej samej kolejności piszą w jakim wypadku dane lekarstwo ma zastosowanie.

Z ruchu harcerskiego.

BADEN POWELL W EDYNBURGU.

W ostatnim nrze pisma angielskich instruktorów „The Scouter" opisuje Baden Powell swój pobyt w Edynburgu, w Szkocji. Pojechał on tam z 3 powodów. Przedewszystkiem wziął udział w otwarciu pokazu rzemiosł wykonywanych przez harcerzy. Pokaz ten zorganizowany został z jednej strony w celu wykazania społeczeństwu Edynburga wartości prac harcerskich, z drugiej przysporzenia funduszów Miejscowemu Kołu Przyjaciół. O wartości pokazów, a równocześnie o wspaniałej jego organizacji może dać pewien dowód fakt, że po zamknięciu trzechdniowego pokazu w kasie znalazło się 4 tys. funtów szterlingów, tj. 17 tysięcy złotych.

Drugim powodem przyjazdu Baden Powella był jego udział w otwarciu nowej siedziby Głównej Kwatery Skautowej w Szkocji. Specjalny Komitet postarał się o wynalezienie wspaniałego budynku, który pozwoli jeszcze lepiej rozbudować pracę harcerską w Szkocji.

Zwiedził wreszcie Baden Powell jedyną w swoim rodzaju drużynę skautową, a mianowicie drużynę składającą się z więźniów Edynburga. Na czele drużyny stoi dyrektor więzienia, czynny skautmistrz. Pomagają mu w pracy starsi skauci, studenci miejscowego uniwersytetu, którzy pełnią funkcje zastępowych. Z okazji przybycia Baden Powella drużynowy zwołał do więziennej sali gimnastycznej całą drużynę. Zastępy przeprowadziły szereg gier i pokazów skautowych, a drużyna jako całość popisywała się śpiewem, który wypadł doskonale.

Baden Powell patrząc na nich, nie chciał wprost wierzyć, że to są więźniowie.

„Rzuca się w oczy, że z posępnych więziennych ptaków skauting przemienił ich w jasne, ludzkie istoty z wiarą i ambicją na przyszłość. Było to doświadczenie najbardziej dodające otuchy i patrzę z dużą nadzieją na dalsze rezultaty tego eksperymentu" — kończy Baden Powell.

ZJAZD STARSZYZNY HARCERSKIEJ. Dnia 15 bm. odbył się Zjazd Starszyzny Harcerskiej Śląskiej w Król. Hucie. Na Zjazd, mimo złej pogody, przybyło liczne grono starszyzny i zaproszonych gości. M. in. przybyli Dr. Sstrumiłło, dh. Jordanówna. Dr. Krupiński, dh. Rokita, inż. Harasiewiczowa, dh. Grzbiela i dh. Wierzbiański.

Zjazd otworzył Komendant Chorągwi Marjan Łowiński, przedstawiając cel i program Zjazdu poświęconego całkowicie sprawom W. F. i P. W. Na program Zjazdu złożyły się sprawozdania hufcowych i trzy referaty na temat: 1. „Nowy choć stary środek wychowania człowieka" wygłosił dh. Prof. Oskar Żawrocki z Rydzyny poznańskiej. 2. „Lekka atletyka i sporty w drużynach" wygłosił dh. Prof. Władysław Olędzki z Warszawy. 3. „Przysposobienie wojskowe harcerzy" zreferował dh. Komendant Marjan Łowiński. Referaty te swą interesującą treścią wywołały b. ożywioną dyskusję, w której między innemi zabierał głos por. Zawadzki, reprezentujący władze wojskowe. Poruszenie przez referentów całego szeregu nowych myśli, żywo do życia i pracy przystosowanych wzbudziło zainteresowanie wśród uczestników, toteż zgotowali referentom gorącą owację.

PRZYRZECZENIE HARCERSKIE. Na zakończenie Zjazdu Starszyzny Harcerskiej odbytego w Król. Hucie odbyła się rzadka i wzruszająca uroczystość. Ks. Dr. Karol Milik, kapelan Męskiej Chorągwi Śląskiej, złożył przyrzeczenie harcerskie. Wśród wyprężonych postaci Starszyzny harcerskiej, po serdecznych słowach Dh. Komendanta Chorągwi, z ręką na harcerskim sztandarze padły w ciszę słowa przyrzeczenia z ust naszego kapelana:

„Mam szczerą wolę całem życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym Prawu Harcerskiemu."

Jest to już drugi wypadek w tym roku, że człowiek dojrzały w starszym wieku składa przyrzeczenie, które normalnie składają młodzi chłopcy wstępując do Związku. Świadczy to o tężyźnie i atrakcyjnej mocy naszych ideałów. Po przemówieeniu Dh. Dr. Strumiłły i Ks. Milika, odśpiewaniem „Roty" zakończono tę podniosłą uroczystość.

ZLOT SKAUTÓW SŁOWIAŃSKICH proponuje zwołać organizacja czeska do Pragi w r. 1931; gdyby udało się zorganizować Międzynarodowe Jamboree w 1933 w Czechosłowacji, wówczas zlot słowiański zostałby przesunięty o 2 lata i połączony z Jamboree.

DO BIURA MIĘDZYNARODOWEGO zgłosiła się nowa organizacja skautowa: „Association de Exploradores Dominicanos". Skauci republiki Dominika. Jest to 45 państwo zarejestrowane w Biurze Międzynarodowem.

Św. MIKOŁAJ W ŻEŃSKIEJ DRUŻYNIE PSZCZYŃSKIEJ. Młoda drużyna żeńskiego gimnazj. w Pszczynie urządziła 6 grudnia swój wieczorek „Mikołajowy“ z dużym sukcesem. Na wieczorek złożyły się występy z zakresu śpiewu, tańca, deklamacji itd. Szereg zaproszonych gości z pośród rodziców i przyjaciół drużyny podziwiało przedewszystkiem pięknie wystylizowane tańce ludowe, jak „trojaka“ i „krakowiaka“. Jedna z druhen wygłosiła specjalnie dla drużyny napisany wiersz pt. „Św. Mikołaj w Pszczynie“, kończący się pięknem wezwaniem:

„Przyjdzie, by związać śląskie rubieże
zgodą, nauką i cnotą,
My zaś dla Polski pracujmy szczerze
A przyjdzie zawsze z ochotą.“

Opiekun drużyny dh. prof. Dobrowolski, przedstawił cele i zadania drużyny, poczem nastąpiło tradycyjne rozdawanie darów przez św. Mikołaja w towarzystwie figlarnego djabła i Świętego. Całokształt uroczystości świadczył o stałym rozwoju i pogłębianiu myśli harcerskiej w drużynie. **xy.**

BADEN-POWELL wyjechał w styczniu do Indji Zachodnich na zaproszenie tamtejszych skautów. W lutym 1931 r. wyjeżdża z Lady Baden-Powell, w odwiedziny do skautów i skautek w Australji i Nowej Zelandji. — Przygotowanie przyjęcia Naczelnego Skauta już rozpoczęto.

DZIENNIKI NIEMIECKIE doniosły, że 7 organizacji skautowych niemieckich połączyło się w jeden związek.

W HISZPANJI odbyło się po Jamboree w Arrone Parku — Jamboree narodowe hiszpańskie. — Wzięło w nim udział 4000 skautów. Zagraniczne delegacje przybyły z 10 państw. Między innemi była delegacja Z. H. P. pod kierownictwem druha

KONKURS SPORTOWY.

I. NAGRODA: PIŁKA NOŻNA WARTOŚCI 25 ZŁ.,
II. NAGRODA: PING-PONG,
ORAZ 25 NAGRÓD POCIESZENIA.

Co masz zrobić, by uzyskać jedną z tych nagród?

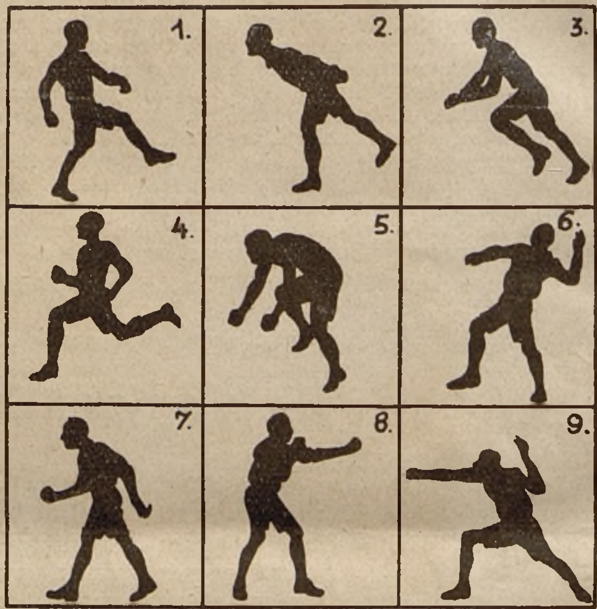
Rysunek obok umieszczony przedstawia dziewięć figur w różnych pozycjach sportowych.

Odgadnij na podstawie tych pozycyj, jaki rodzaj sportu oznacza każda z tych figur i do dnia 18 stycznia 1930 r. nadeślij rozwiązanie do Redakcji „Na Tropie“, Katowice, ul. Szafranka, Domek Harcerski.

Za najlepsze rozwiązanie przeznaczamy piłkę nożną, oraz ping-pong, a dla 25 innych uczestników konkursu nagrody pocieszenia.

Nagrody mogą być rozdzielone drogą losowania. Orzeczenie Redaktora o ich przyznaniu jest ostateczne.

Pamiętaj! Termin nadsyłania rozwiązań upływa 18 stycznia 1930 r.



według „The Scout“.

OD ADMINISTRACJI.

Do numeru niniejszego tym wszystkim prenumeratorom, którzy nie zalegają z prenumeratą, dołączamy dodatek, poświęcony udziałowi Harcerzy Polskich w Międzynarodowym Zlocie Skautowym „Jamboree“.

Dodatek ten liczy 32 strony formatu „Na Tropie“ i zawiera 72 ilustracyj.

Dodatek ten w cenie 1 zł. 50 gr. nabyć można oddzielnie w Administracji „Na Tropie“.

Drużynom i Zrzeszeniom, nabywającym większą ilość egzemplarzy dla celów propagandy harcerstwa, udzielamy znacznych zniżek, dochodzących do 33% przy 100 egzemplarzach.

Drużyna, która nabędzie więc 100 egzemplarzy, może uzyskać na ich rozsprzedaży 50 zł.

Przypominamy, że należy uiścić prenumeratę na rok 1930.

? 305.330 ?

Czy wiesz, co to za liczba?

To numer konta „Na Tropie“ w P. K. O., na który winieneś wpłacić prenumeratę na rok 1930: Ty i Twój przyjaciel i przyjaciel Twojego przyjaciela!

Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1 zł, kwartalna 1,50 zł, półroczna 3 zł, roczna 6 zł.

W skład Komitetu redakcyjnego wchodzą: Marja Kapiszewska, Jadwiga Laszczkówna, Jan Grzbiela, Henryk Kapiszewski, Adam Kossowski, Adam Kozaczka, Tadeusz Wąsowicz, Marjan Wierzbiański, Adam Wiliński, Jan Kazimierz Zaremba.
Pracą Komitetu redakcyjnego kieruje Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w Drukarni Śląskiej, Sp. z o. o., Katowice, narożnik ul. Batorego 2 i ul. Kościuszki nr. 15
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.